NUMER 23. DNIA 8-go CZERWCA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

Maszkienice.

Maszkienice jest to wieś polska w powiecie brzeskim w Galicji, której stosunki gospodarcze i społeczne opisał w sumiennej monografji p. Franciszek Bujak i w rocznikach krakowskiej Akademji Umiejętności drukiem ogłosił. Autor uważa tę swoją rodzinną wieś za typową w Galicji zachodniej a w szczególności za typowy przykład „wsi rolniczo-robotniczej“ tj. wsi przeludnionej, której ziemia nie wystarcza na wyżywienie ludności bez znacznego obniżenia kulturalnego, z której więc ludność w znacznej części zmuszoną jest do emigracji za zarobkiem. Jakkolwiek autor usiłował powstrzymać się od wyciągania ogólnych wniosków ze stosunków maszkienickich, to jednak obraz, przez niego skreślony, przekonywa o konieczności emigracji ludu wiejskiego, jeśli ludność wiejska kraju naszego nie ma popaść w barbarzyństwo pod względem kulturalnym i ginąć z nędzy i głodu. A wniosek ten, wysnuty ze ścisłej, naukowej obserwacji faktów, ugruntowany przez bezpośrednie badanie stosunków włościańskich, nadaje całej wyczerpującej pracy charakter politycznej rozprawy, dotykającej jednej z piekących współczesnych spraw krajowych. Z tego też względu monografja o Maszkienicach powinna zwrócić uwagę wszystkich naszych polityków, którzy swoich teoryj nie chcą wywodzić z abstrakcyjnych jakichś przypuszczeń i założeń. Znajdą oni w tej książce także wiele innych praktycznych wskazówek.

Chcemy tu pokrótce przytoczyć najważniejsze poglądy autora tak na sprawę emigracji, jak i na inne zagadnienia kwestji włościańskiej, nie wdając się w szczegóły, których każdy w samej monografji doczytać się może.

P. Bujak zaznacza stanowczo (wbrew odmiennym, często powtarzanym komunałom), że za czasów pańszczyźnianych, jeszcze w początku XIX. wieku i dawniej, położenie chłopów pod względem ekonomicznym było o wiele gorsze, niż dzisiaj, że ludność włościańska wprost marła z głodu w razie średniego nawet nieurodzaju i żyła stale w strasznej nędzy, gdyż jako glebae adscripta nie miała wolności opuszczania wsi za zarobkiem a przy nadmiernych ciężarach z roli nawet najskromniejszego utrzymania według pojęć obecnych uzyskać nie mogła. (str. 10). Ale pomimo niewoli pańszczyźnianej — głody, pomory, stały ucisk popychały chłopów do zbiegostwa, do porzucania niemiłej siedziby i szukania lepszej doli gdzieś indziej, zdala od nieszczęść i ucisku. (str. 14). Obecnie emigracja za zarobkiem jest jedynym ratunkiem dla chłopa galicyjskiego, pozostawszy bowiem na rozdrobnionym gruncie, musiałby z głodu umierać, nie mogąc z ziemi się wyżywić. Emigrują też chłopi od lat chłopięcych (13 lat) do późnej starości, bo nawet czasem 70 letni starcy widzą się zmuszonymi brać za topór lub łopatę i ruszać w świat.

Jedna wieś Maszkienice otrzymuje na rok 12.000 złr. gotówki, zaoszczędzonej przez emigran-

tów, podczas gdy dochód cały z gruntów i z gospodarstwa domowego w całej wsi daje tylko 10.000 złr. rocznie! Emigranci przeważnie powracają do domu na miesiące zimowe a wypocząwszy, znowu na wiosnę wyruszają w drogę.

Coroczne zarobki emigrantów wsiąkają w gospodarstwo we wsi. Ogólnie jednak biorąc, widoczny jest wzrost dobrobytu w gospodarstwach, posiłkujących się zarobkowaniem w przeciwstawieniu do gospodarstw, obywających się bez niego, w których i o grosz trudno i gorzej się trzeba odżywiać. „Rolą się wyłącznie porający umiera, najczęściej bardzo mało albo nic nie powiększywszy swego majątku, choć całe życie uczciwie pracował, a tymczasem zarobkujący, choć się, co prawda, utyrał po świecie, przecież ma na starość prędzej czem dzieci wyposażyć, bo albo ma jaką sumkę, albo kawałek pola dokupił.“ Piąta część ludności wsi, zdolnej do pracy, przysparza jej przez emigrację zarobkową co najmniej połowę dochodów. Zarobkowanie to więc ratuje ludność od upadku i nędzy i bez zarobkowania wprost nie można sobie wyobrazić możliwości jej życia. (str. 57 itd.) Emigracja podnosi ludność ekonomicznie i zapewnia jej czysty dzienny zarobek dwa razy większy, niż wynosi zwykła dzienna płaca na wsi w kraju. Więc też ludność nie zważa na słowa duchowieństwa, nawołującego ją do zaniechania wycieczek zarobkowych głównie z obawy o jej zbawienie, o upadek moralności i pobożności a najbardziej z obawy przed socjalistami. Obawy te zresztą są w zupełności płonne. Moralność nie tylko nie podupadła we wsi skutkiem emigracji, ale w ostatnich kilkunastu latach zmniejszyła się liczba dzieci nieślubnych, opilstwo znacznie zmalało, a chociaż robotnicy wiejscy zwą się socjalistami, nie tylko nie mają pojęcia o zasadach socjalizmu, lecz we wsi wcale nie są zwolennikami równości, owszem mają pretensje do wyższości nad gospodarzami, pozostającymi stale na gospodarstwie.

Owoce emigracji są tak doniosłe, ogromne i niezbędne dla naszego włościaństwa, że ogólna ocena wychodźtwa za zarobkiem musi wypaść korzystnie (str. 58). „Musimy wydać o niem sąd przychylny. Bo czyż można potępić ludzi, którzy chcą pozostać członkami swego społeczeństwa, obywatelami swej ojczyzny, ale nie mogąc znaleźć w niej tyle i takiego zarobku, jakiego potrzebują, aby nie ginąć z głodu, szukają go poza jej granicami, nawet u naszych wrogów?“

Wychodźcy nasi nie cofają się w kulturze, ale owszem powoli posuwają się w niej naprzód, co uwidocznia się w ubraniu, jedzeniu, nawet w obyczajach i w ogólnym poziomie oświaty.

„A trzeba pamiętać, że w skutek wielkiego ubóstwa i silnego przyrostu ludności, któremu nie odpowiada wzrost środków produkcji, kraj nasz objawia dążność do zastoju, czyli raczej do cofania się w kulturze. Wzrasta bowiem rozdział między ilością potrzeb, które się mnożą z powodu stosunkowo dość znacznego stopnia oświaty tak pod względem intenzywności, jak i rodzajów a pomiędzy ilością środków, do ich zaspokojenia służących. Aby utrzymać względną proporcję między niemi, możnaby chyba, nie starając się o dostateczne pomnożenie środków do zaspokojenia potrzeb, ograniczyć same potrzeby, których rozmiar u ogółu stanowi miarę jego cywilizacji czyli, co na jedno wychodzi, możnaby zmniejszyć oświatę, bo w ten sposób najłatwiej osłabić odczuwanie potrzeb. Ale ani jednostki, ani społeczeństwa robić tego nie powinny, owszem ich obowiązkiem jest starać się bądź co bądź o zaspokojenie swych potrzeb i nie obniżanie poziomu swej kultury“.

„Wychodźtwo za zarobkiem jest takim środkiem ratunku dla kultury ludu polskiego, którego się on ima oburącz, nie chcąc ograniczać i tak już skromnych swych potrzeb i popadać w barbarzyństwo. To jest pierwsze zadanie wychodźtwa, spełnia je ono, zdaje się, bardzo dobrze, drugiem jest podnoszenie kultury“.

Wychodźtwo nie osłabia wcale przywiązania do ziemi, owszem je potęguje. Chłop na zarobku w świecie marzy tylko o tem, aby uciułać jak najwięcej grosza i zakupić za powrotem kęs tej ziemi polskiej, którą ukochał, gdy mu ją pozwolono posiadać bez niewoli pańszczyźnianej.

P. Bujak, na podstawie autentycznych wywiadów, przytacza statystyczne dowody ogromnej oszczędności chłopa polskiego na obczyźnie. Żyje on często suchym chlebem, wydając na całodzienne utrzymanie 14 centów, a przeciętnie oszczędza na dzień $78^1/_2$ centa. A gdy uskłada większą kwotę, budzi się w nim pożądliwość gruntu, żądza nabycia bodaj małej skiby. Stąd cena gruntów w małych parcelkach wzrasta niesłychanie,

gdyż chłopi zarobnicy wzajemnie się przelicytowują. Przy tem zarobnik płaci należytość gotówką, nie obciążając ziemi, świeżo nabytej, kredytem, podczas gdy rolni gospodarze zaciągają nieraz nadmierne zobowiązania, składając mniejszą część ceny kupna gotówką, a resztę przyjmując do spłaty w krótkich, niedogodnych terminach. Tak w Maszkienicach przy parcelacji obszaru dworskiego, zarobnicy za swe udziały gruntu zapłacili gotówką, a długów na to kupno zaciągnęli tylko 7·6 proc., podczas gdy rolnicy obdłużyli się na 40 proc. sumy kupna.

Autor dzieła o Maszkienicach otwarcie przyznaje, że emigracja robocza jest groźna dla obszarów dworskich, o czem dobrze wiedzą ich właściciele i dla tego starają się ruch emigracyjny tamować. Oto dosłowny ustęp z omawianej przez nas publikacji Akademji Umiejętności:

„Udział w parcelacji gospodarstw, posiłkujących się emigracją zarobkową, dowodzi, że to klasa ekonomicznie nie słabsza od klasy wyłącznie się zajmującej rolnictwem. Społecznie nie jest ona niebezpieczną, bo nie okazuje dążności do staczania się w przepaść nędzy, nie jest czynnikiem obniżającym dobrobyt ogólny, owszem odznacza się hartem, przedsiębiorczością i najczęściej szerszym poglądem na świat, które to zalety tylko korzystnie mogą na kraj oddziałać. Szybki postęp kolonizacji wewnętnej i parcelacji obszarów dworskich zależy przeważnie od emigracji zarobkowej, albowiem biorący w niej udział silnie są przywiązani do rolnictwa i łakną ziemi, ofiarując za nią nadmierną cenę. Dla tych, co myślą przedewszystkiem o ratowaniu walącego się dworu polskiego, jest to klasa społecznie groźna, bo jest czynnikiem rozdrabniającym obszary dworskie, ale ci, zdaje się, muszą się z obecnym stanem pogodzić, bo o zatamowaniu tego ruchu w najbliższym czasie mowy być nie może, jak i o poprawie warunków gospodarczych większej własności.“

Tak rozsądnych i tak otwarcie wypowiedzianych poglądów na emigrację, a do tego wydrukowanych w wydawnictwach Krakowskiej Akademii Umiejętności, dotąd nie przydarzyło się nam czytać. A z wywodami autora zgadzamy się w zupełności. Są one zgodne z tendencją Stronnictwa ludowego podobnie, jak i wiele innych zapatrywań autora „Maszkienic“ w sprawie chłopskiej.

Nie dziwi nas, że wobec tego autor w swojem dziele, wspominając o różnych pismach ludowych na wsi, o „Obronie ludu,“ „Wieńcu“, — „Pszczółce,“ „Związku chłopskim,“ „Polaku,“ „Przodownicy,“ „Przyjacielu ludu,“ oddaje słuszność Stronnictwu ludowemu i zaznacza, że organ ludowców „Przyjaciel ludu“ z pomiędzy wszystkich tych pism ludowych „budzi najwięcej zaufania i sympatji“ (str. 94). Jest to zaszczytne dla nas uznanie od badacza stosunków włościańskich, bezstronnego i uczciwego.

P. Bujak cyframi wykazuje, że tak zwane prostowanie katastru sprowadziło dla włościan przeważnie przesunięcie pewnej części gruntu z niższej klasy do wyższej (str. 15), chociaż w rzeczywistości o polepszeniu się gruntów, o podniesieniu się ich wartości mowy być nie może, a przeciwnie stwierdzić można pogorszenie się znacznej części gruntów. Skutkiem przeludnienia „ludność już zamieniła na rolę grunta, które w pomyślnych warunkach byłyby pastwiskami lub lasem pokryte“. A gdy koszta produkcji są bardzo znaczne a plony bardzo mierne, znaczną część gruntów klasy VII. uprawiać nie opłaca się wprost i każdy rok takiej uprawy kończyłby się znacznym deficytem, gdyby ludność ceniła swoją pracę i żądała od ziemi zapłaty (str. 17). Co do lepszych kawałków gruntu, to niezmiernie wyśrubowane podatki zabierają prawie cały dochód. Suma podatków, płaconych z gminy Maszkienice, pochłania prawie w całości czysty dochód katastralny, co autor szczegółowem tabelarycznem zestawieniem dowodzi (str. 20).

Szkoda, że autor nie rozważył dokładniej poszczególnych pozycyj sumy podatkowej, które wykazują, że większą połowę tego ogromnego, wprost monstrualnego obarczenia podatkowego zajmuje dodatek gminny i podatek indemnizacyjny, dwie daniny na rzecz obszarów dworskich składane. Może też autor nie chciał narazić pracy, przedkładanej Akademji Umiejętności. Cyfry zresztą same wołają głośno do myślącego czytelnika i nasuwają konieczne wnioski i konkluzje.

Omawiając rozdrobnienie gruntów włościańskich, p. Bujak podnosi ujemne skutki tego rozdrobnienia, niemożliwość dokładnej ewidencji katastralnej, wytworzenie bardzo wielu miedz, trudność uprawy kawałków, które

wszerz mierzą tylko $1\frac{1}{2}$ metra, a ciągną się całymi kilometrami, rozproszenie drobniutkich parceli, stratę czasu na samo chodzenie i zwożenie, trudność dostępu, paszenia bydła. Z tego powodu przemawia autor za komasacją, lecz przewiduje, że z początku natrafi ona na brak zrozumienia jej skutków i niechęć, która wypływa z wrodzonej naszemu ludowi obawy pokrzywdzenia. Rozdrobnienie ziemi i parcel jest naturalną konsekwencją uwłaszczenia i nieograniczonego prawa własności, a powstało w skutek wyposażenia większości dzieci ziemią, zwłaszcza wskutek częstych wypadków dziedziczenia wszystkich spadkobierców osobno po ojcu, a osobno po matce, wreszcie w skutek wzrastającego obrotu własnością nieruchomą. Specjalnie co do niekorzystnego dzielenia gruntu długimi paskami od końca do końca parceli autor zarzuca sądom winę, twierdząc, że sądy nieraz wbrew racjonalniejszym rozporządzeniom ostatniej woli dla wygody biurokratycznej i szybszego zbycia się sprawy podział taki dziedzictwa z urzędu przeprowadzają. Sprawa to ważna i powinna zwrócić uwagę wyższych przełożonych instancyj sądowych tem bardziej, gdy zarzut pojawia się w piśmie naukowem pod egidą Akademji Umiejętności, a nie na łamach radykalnej gazety. (Vide: „Maszkienice“ str. 27 i 28).

Najciekawsze jednak jest zdanie autora o projekcie Hupki i innych stańczyków co do ograniczenia swobody dzielenia gruntów włościańskich. Autor staje tu wyraźnie na stanowisku Stronnictwa ludowego i pisze dosłownie (str. 29):

„Mimo wszystko, coby takiemu dzieleniu ziemi można zarzucić, mojem zdaniem j e s t o n o j e d y n i e u p r a w n i o n e m w d a n y c h s t o s u n k a c h. Żaden ojciec nie może się bawić w socjalnego polityka kosztem swoich dzieci i wydziedziczać kilkoro z nich na rzecz jednego lub dwojga zwłaszcza jeżeli one, jak się to z reguły dzieje, wszystkie swoje siły, odkąd są zdolne do pracy, poświęcają na powiększanie względnie tylko utrzymywanie jego gospodarstwa. Jeżeli ojciec nie chce dzielić swego gospodarstwa, ale zostawić je jednemu dziecku, nie ma prawa używać innych dzieci do pracy w tem gospodarstwie, a ma obowiązek dać im sposobność do zdobycia sobie jak najlepszego sposobu utrzymania, czyli wykształcenia się w jakimś zawodzie. Jeżeli tego nie jest w stanie uczynić, to musi gospodarstwo podzielić między wszystkie swoje dzieci. Jak trudno zaś jest wieśniakowi w Galicji zwrócić swe dziecko do jakiegokolwiek innego zawodu, niż rolnictwo, przypominać nie trzeba“.

Sprawozdanie niniejsze o zajmującej pracy p. Bujaka musiałoby przybrać zbyt wielkie rozmiary, gdybyśmy chcieli streszczać i przytaczać wszystko, co w niej godne zastanowienia i rozwagi. Wprawdzie u nas często dzienniki poświęcają sporo miejsca przeróżnym broszurkom politycznym bez donioślejszego znaczenia, gdy przeciwnie zamilczają poważne prace, pełne myśli i poruszające najważniejsze zagadnienia, co również i pracę p. Bujaka spotkało. Tego zapomnienia tendencyjnego nie wynagrodzi nasz pobieżny referat, chyba jeśli bodaj mały zastęp czytelników zachęci do przeczytania w całości monografji o Maszkienicach. My tu więc tylko jeszcze parę uwidocznimy ogólniejszych zdań autora.

Śród włościaństwa zaznacza się znaczny postęp w oświacie, w kulturze, w warunkach ekonomicznych. Miasto powiatowe, zwłaszcza podczas jarmarków, wywiera silny wpływ na ludność. Także i dwory zaczynają oddziaływać na włościan, chociaż do niedawna wpływ dworu był bardzo mały. „Dopiero wtedy, gdy chłop przestaje się kłaniać czapką do samej ziemi i całować jaśnie wielmożnego pana w kolano, dopiero wtedy staje się on zdolnym do rozsądnego naśladowania u siebie zauważonych w dworskiej gospodarce ulepszeń“. Przedewszystkiem jednak działa błogo u ś w i a d o m i e n i e p o l i t y c z n o - s p o ł e c z n e (str. 41.).

Ciekawe uwagi czyni autor o zmienionym stosunku żandarmerji do włościan. „Żandarmerja była jeszcze przed laty dziesięciu postrachem i utrapieniem ludności. Żandarm był prawie udzielnym panem, w swym okręgu z swą pięścią i uzbrojeniem, do których nadużywania był niezmiernie skorym, nawet u porządnych gospodarzy wzbudzał szacunek większy, niż sędzia lub nawet starosta. Była to metoda traktowania ludzi przyjęta od regularnej armji, metoda, która się u nich, jako u starszych żołnierzy, dłużej niż w armji przechowała. Dziś żandarmi są ludzie dobrzy, którzy z ludnością miejscową starają się utrzymać przyjazne stosunki, bo j e s t o n a o ś w i e c e ń s z a o b e c n i e, c z u j e, ż e n a w e t w ł a d z a ż a n d a r m a m a s w o j e g r a n i c e i n i e p o z w o l i ł a b y s i ę t a k b r u t a l n i e, j a k d a w n i e j t r a k t o w a ć“.

P. Bujak gorąco przemawia za tem, aby (w myśl wniosku sejmowego posłów ludowych) namiestnictwo lub Wydział krajowy wydał niezbyt obszerny a zrozumiały podręcznik dla zarządu gminnego, gdyż wieśniak, obrany wójtem, nie może zorjentować się w ogromnej ilości przepisów i ustaw, a przez to autonomja gminna bardzo szwankuje. „Taka książka — powiada p. Bujak — dobrze napisana i jasno ułożona, zrobiłaby wprost przewrót w obecnych stosunkach, a uczyniłaby zbytecznemi nieproporcjonalnie kosztowne i zawsze niedostateczne kursy dla pisarzy gminnych, i co ważniejsza, projekta nowej organizacji gminnej“.

Z przeszkód, które najwięcej utrudniają oświatę przez szkołę ludową, wymienia autor brak przymusu szkolnego, ubóstwo, brak zrozumienia wartości nauki przez rodziców, oddawanie na służbę dzieci w wieku szkolnym. Zniechęca także do szkoły oddanie Rady szkolnej miejscowej pod kierownictwo księdza proboszcza. (str. 98).

HENRYK KLEIST.

Trzęsienie ziemi w Chili.

(Z niemieckiego.)

(Dokończenie).

Uroczystość rozpoczęła się kazaniem, które wygłosił z ambony jeden z najstarszych prałatów w świątecznym ornacie. Rozpoczął zaraz od chwały, hołdu i dziękczynienia, wznosząc drżące, w szerokich rękawach białej komży ukryte ręce ku niebu, radował się, że na tym w gruzy zapadłym szczątku świata zostali jeszcze ludzie, zdolni chwalić Boga pokornemi usty. Opisywał to, co się stało — a stało się na rozkaz Wszechmocnego; ani sąd ostateczny nie może być straszniejszym; a gdy wskazując na pękniętą rysę, która się w kościele podczas katastrofy utworzyła, nazwał wczorajsze trzęsienie ziemi zapowiedzią końca świata, dreszcz grozy przebiegł po wszystkich zgromadzonych. Następnie w potoku kaznodziejskiej wymowy jął mówić o zepsuciu obyczajów w mieście; że Bóg karze ohydy, jakich nie widziały Sodoma i Gomora; a tylko nieskończonej dobroci bożej przypisał to, że miasto jeszcze ze szczętem nie znikło z powierzchni ziemi. Ale jakby sztyletem ubodło to serca naszych dwojga już i tak pogrążonych w rozpaczy nieszczęśliwych, gdy prałat przy tej sposobności wspomniał szeroko o zbrodni, którą popełniono w ogrodzie klasztoru Karmelitanek; tolerancję, wobec tej zbrodni potępił jako bezbożną, a wymieniając nazwiska sprawców w ubocznej przepełnionej przekleństwami dygresji retorycznej, polecił ich dusze wszystkim książętom piekieł.

W tej chwili Donna Konstancja, stojąca obok Hieronima, drgnęła i zawołała: Don Fernando! Lecz ten rozkazująco a przecież nieznacznie, o ile się jedno z drugiem dało pogodzić, odrzekł: „Milcz Pani, nie puść ani pary z ust, i udaj, że omdlewasz, a wtedy wyjdziemy z kościoła“. Lecz zanim donna Konstancja zdołała wypełnić ten rozkaz, mogący uratować sytuację, jakiś gromki głos przerwał kazanie prałata i zawołał: „Rozstąpcie się obywatele z St. Jago, tu stoją ci bezbożnicy:“ jakiś inny okropny głos zawołał: „gdzie?“ Natychmiast utworzył się naokoło nich szeroki krąg strasznej ciekawości, a w tem ktoś trzeci krzyknął: „tu są!“ i pełen świątobliwego okrucieństwa porwał Józefę za włosy, tak że byłaby razem z dzieckiem upadła, gdyby jej don Fernando nie wstrzymał. „Czyście zwarjowali?“ krzyknął młodzieniec, otaczając ramieniem Józefę — „ja jestem don Fernando Ormez, syn gubernatora miasta, którego wszyscy znacie“. „Co? Don Fernando Ormez?“ zapytał, stając tuż przed nim, pewien szewc, który robiąc nieraz obuwie dla Józefy, znał ją przynajmniej tak samo dobrze, jak jej małe nogi. „A kto jest ojcem tego dziecka?“ rzekł, zwracając się zuchwale do córki Asterona. Don Fernando zbladł na to pytanie,

Spojrzał trwożnie na Hieronima, a potem przebiegał oczyma zgromadzonych, próbując, czy znajdzie wśród nich jakiego znajomego. Józefa, kłóta spojrzeniami tysiąca badawczych groźnych oczu, rzekła: „Majstrze Pedrillo, mylisz się, to nie moje dziecko!“ a spoglądając z trwogą na don Fernanda powtórzyła: „Ten młody pan to don Fernando Ormez, syn gubernatora miasta, wszak znacie go wszyscy!“ „Kto z was obywatele, zna tego młodego człowieka?“ spytał szewc, a natychmiast kilku z najbliżej otaczających, krzyknęło: „Kto zna Hieronima Rugerę, niech wystąpi!“ Wtem los zdarzył, że w tym samym momencie mały Juanek, zastraszony zbiegowiskiem, wydzierał się z ramion Józefy do ojca. „Oto ojciec!“ wrzasnął jeden, a drugi dodał: „Oto Hieronim Rugera!“ a trzeci zawołał: „Oto są ci świętokradcy!“ a inni chrześcjanie, zgromadzeni w świątyni Jezusa, jęli wołać: „Ukamienujcie ich! ukamienujcie ich!“ Wtem zagrzmiał głos Hieronima: „Wstrzymajcie się, nieludzcy okrutnicy! Jeśli szukacie Hieronima Rugery, to oto tu go macie! a uwolnijcie tego niewinnego człowieka!“

Wściekły tłum, zbity z tropu wystąpieniem Hieronima, wstrzymał się, kilkanaście rąk wypuściło don Fernanda, a w tem nadbiegł pewien oficer marynarki, wysokiej rangi i przeciskając się przez tłum, spytał: „Don Fernando Ormez, a cóż to się z panem dzieje?“ Wówczas don Fernando, wyzwoliwszy się już zupełnie z rąk tłumu, odpowiedział z bohaterską roztropnością: „O, don Alonzo, popatrz na tych zbójów! Byłbym zgubionym, gdyby ten zacny człowiek chcąc uspokoić tłum, nie podał się za Hieronima Rugerę. Bądź pan tak łaskaw zaaresztować go razem z tą młodą damą, dla bezpieczeństwa ich obojga — a zaaresztuj także i tego nicponia, sprawcę całej awantury“ dodał wskazując na majstra Pedrillo. Lecz szewc krzyknął: „Don Alonzo Quoreja, przysięgnij pan na swoje sumienie, czy ta dziewczyna nie jest Józefą Asteron?“ Gdy zaś don Alonzo, który znał Józefę, zwlekał z odpowiedzią, a mnóstwo ludzi podniecając się znowu, zaczęło krzyczeć: „To ona! ona! wydać ją na śmierć!“ — wówczas Józefa wzięła małego Filipka z ramion Hieronima, oddała go razem z małym Juankiem Ferdynandowi i rzekła: „Idź, don Fernando, ratuj obu twoich synów, a mnie zostaw memu losowi!“ Don Fernando wziął oboje dzieci, lecz rzekł stanowczo, że raczej zginie, niż pozwoli, by jego towarzyszom cokolwiek się stało. Poprosiwszy oficera marynarki o szpadę, podał Józefie ramię i nakazał drugiej parze iść za sobą.

Rzeczywiście zrobiono im z pewnem uszanowaniem wolne przejście, tak, że wyszli z kościoła i uważali się już za uratowanych. Lecz zaledwie wyszli na plac przed kościołem, również napełniony ludźmi, gdy ktoś z wściekłej czeredy, która ich ścigała, zawołał: „Obywatele, to jest Hieronim Rugera, wierzcie mi, bo ja sam jestem jego ojcem!“ i jednem okropnem uderzeniem maczugi położył nieszczęśliwca trupem obok Donny Konstancji. „Jezus Marja!“ krzyknęła Donna Konstancja, i uciekła do swego szwagra, lecz w tem już zabrzmiał okrzyk: „Ty wszetecznico klasztorna!“ i drugi cios maczugą, wymierzony przez innego fanatyka, zgruchotał jej czaszkę. „Potworze!“ — krzyknął jakiś nieznajomy — „to była donna Konstancja Xares!“ „Więc dlaczegoż nas okłamali!“ — odpiera szewc, — „wyszukajcie prawdziwą i zabijcie ją:“ Don Fernando na widok trupa donny Konstancji, zawrzał gniewem, wyjął miecz, wywinął nim i byłby rozpłatał fanatycznego kata, który spowodował te okropne mordy, gdyby tenże uchyleniem się w bok, nie uniknął gwałtownego ciosu. Lecz nie mógł już wstrzymać naporu tłumu, a Józefa, widząc to, rzekła: „Żegnaj mi, don Fernando i wy dzieci!“, a potem z okrzykiem: „Zamordujcie mnie teraz, krwiożercze tygrysy!“ dobrowolnie wpadła między nich, aby walce koniec położyć. Majster Pedrillo zabił ją maczugą, a potem, cały okryty krwią, wrzasnął: „Poślijcie za nią i bękarta do piekła!“ i z nienasyconą żądzą mordu atakował dalej. Don Fernando, ten boski bohater, stał teraz tyłem oparty o kościół, na lewej ręce miał dzieci, prawą władał mieczem. Każdym ciosem jak piorunem, zabijał człowieka; i lew lepiej się nie broni. Już siedmiu tych psów krwawych położył trupem, sam książę szatańskiej sfery był ranny. Lecz majster Pedrillo nie ustał, aż oderwał jedno z dzieciątek za nóżki od jego piersi, a potem, wywinąwszy maleństwem krąg w powietrzu, roztrzaskał je o krawędź filaru kościelnego. Potem ucichło, a wszyscy się oddalili.

Don Fernando, widząc przed sobą małego Juanka z mózgiem, wypływającym z czaszki, wzniósł ku niebu oczy, pełne niewysłowionego

bolu. Oficer marynarki przystąpił znowu do niego, usiłował go pocieszyć, i zapewniał, że żałuje swego biernego zachowania się, które wytłómaczy różnemi okolicznościami; lecz don Fernando odrzekł, że nic mu nie zarzuca, i prosił tylko o pomoc w zabraniu trupów. Wśród zapadającej nocy zaniesiono wszystkie ciała do mieszkania don Alonza, i tam też udał się don Fernando, gorzkiemi łzami oblewając twarz małego Filipka. Przenocował u don Alonza, a potem pod różnymi fałszywymi pozorami zwlekał długo z powiadomieniem swej małżonki o nieszczęśliwem zajściu, najprzód dlatego, ponieważ była chorą, a powtóre dlatego, bo nie wiedział, jak ona osądzi jego zachowanie się w tej całej aferze. Jednakże wkrótce zacna ta donna, powiadomiona przypadkiem o wszystkiem, wypłakała w cichości swój ból matczyny i pewnego ranka ze śladami błyszczących łez w oczach, padła mężowi na szyję i ucałowała go. Don Fernando i donna Elwira przyjęli potem małego sierotkę za swego syna; i gdy don Fernando porównywał Filipka z Juankiem i rozpamiętywał, w jaki sposób został jego ojcem, to mu się niemal zdawało, że powinienby się cieszyć.

LUDWIK BERNACKI.

Z korespondencji Jana Milikowskiego.*)

PISMA ANTONIEGO MALCZEWSKIEGO.

Z pomiędzy wszystkich nakładców, którzy z jakichkolwiek bądź pobudek podejmowali się wydania „Marji“ Malczewskiego, księgarz lwowski, Jan Milikowski ma tę zasługę, że sam jeden tylko starał się podać „wiadomość o życiu“ autora i jego pismach. Dzięki jego staraniom ginące już szczegóły z życia wielkiego poety uszły ostatecznej zagłady, i ułożone w systematyczny obraz przez Augusta Bielowskiego, przeszły do potomności, będąc przez czas dłuższy ,,alfą i omegą“ dla żywoto-pisarzy autora ,,Marji“.

Milikowski ogłosił swoim nakładem trzy wydania ,,Marji“, względnie ,,Pism“ A. Malczewskiego. Wyliczam je tu kolejno.

*) Korespondencja ta, znajduje się w zbiorze rękopisów Zakładu narodowego im. Ossolińskich we Lwowie w kodeksie pod l. 4338 (fol.).

Wszelkie przytaczane tu wyjątki, zaczerpnięte są z tego rękopisu, wyjąwszy tam, gdzie wyraźnie zaznaczone są inne kodeksy.

1. Marja. Powieść ukraińska przez Antoniego Malczewskiego z popiersiem autora, tudzież wiadomością o jego życiu. Lwów, nakład Kuhna i Milikowskiego. 1833. W Lipsku, w drukarni Breitkopf Härtel. 8°, str. XXX i 84 + 1 k. nlb. omyłek druku. (Popiersia niema).

2. Marja. Powieść ukraińska, tndzież drobne pisma Antoniego Malczewskiego. Zebrał, dokumenta wyjaśniające osnowę Marji przyłączył, i żywot pisarza skreślił Augustyn Bielowski. Wydanie poprawne. We Lwowie, Stanisławowie i Tarnowie nakładem Jana Milikowskiego, 1838. Drukiem Breitkopfa i Härtela w Lipsku. 8° str. 150 + 4 k. nlb.

3. Antoni Malczewski, jego żywot i pisma ozdobione popiersiem wydał August Bielowski. Lwów, Stanisławów i Tarnów. Nakład Jana Milikowskiego. 1843. Drukiem u J. P. Sollingera. 8° str. 165+4 k. nlb. Spis przedmiotów od str. 93 mylny, taki, jak w edycji z 1838. (O wydaniach ,,Marji“ Malczewskiego nakładem J. Milikowskiego por. artykuł bezimiennego autora w ,,Bibljotece warszawskiej“. 1845, styczeń, str. 181—187, tudzież od-

powiedź Augusta Bielowskiego na ten artykuł w „Dzienniku mód paryskich“ T. Kulczyckiego, Lwów 1845 nr. 6. str. 46—47. O ukazaniu się wydania z roku 1843, które nas najwięcej interesuje, jako ostatniem nakładu Milikowskiego doniósł „Dodatek nadzwyczajny do nr. 47. Gazety Lwowskiej“ z dnia 22. kwietnia 1843, zatytułowany „Doniesienia literackie, muzykalne i artystyczne“).

Sporządzenie tych wszystkich trzech edycji poruczył J. Milikowski Augustowi Bielowskiemu, który starał się z tego zadania wywiązać się jak najsumienniej. Pragnąc powiększyć zasób wiadomości biograficznych o Malczewskim, oraz chcąc wydostać z ukrycia pozostałe po nim rękopisy czynił (wraz z Milikowskim) poszukiwania, zwracał się z prośbą o informacje do osób, które ich udzielić mogły. Ale trud jego pozostał bezowocny. W wydaniu z roku 1833 pisał Bielowski o pozostałych manuskryptach Malczewskiego: „Ktokolwiek takowe posiada, niech tę wiadomość weźmie za wezwanie do ogłoszenia pozostałych pism Malczewskiego, bo ukrywanie podobnych rzeczy jest kradzieżą, wyrządzoną ojczystym skarbom“.

Ale odezwa taka i zarzut ciężki nie wiele pomogły. W wydaniach następnych był zmuszony prawie to samo powtórzyć. Przygotowując edycję w roku 1843 nie zaniedbali wydawcy niczego, coby mogło wydobyć z ukrycia nieznane utwory Malczewskiego. „Niezaniedbaliśmy — pisali o sobie — żadnej sposobności w zasiąganiu szczegółów tyczących życia lub też pism Malczewskiego“, a dalej donosili z wyrzutem, że „co się tyczy pism samych, pomimo licznych odezw zrobionych w tym celu do różnych osób, skutek nie odpowiedział naszym oczekiwaniom“. Znaleźli się wprawdzie tacy, co śpieszyli z wiadomościami o Malczewskim i jego pismach, a nawet z samymi utworami Malczewskiego, ale były to „dodatki częścią przypisowane mu fałszywie, częścią też niemające żadnej wartości“. Słowem do „Pism“ Malczewskiego nie przybyło do 1843 r. Milikowskiemu nic. Wydanie z 1843 r. było prawie że przedrukiem edycji z r. 1838 tu i ówdzie nieco zmienionym.

Zawiera ono „Przemowę“ wydawców, datowaną: Lwów 25 kwietnia 1842, żywot Antoniego Malczewskiego przez A. Bielowskiego z datą: Lwów, 24 marca 1837, potem idzie „Marja“, powieść ukraińska z dedykacją Niemcewiczowi i przypisami Malczewskiego. Od str. 111 do 136 dołączono „Dokumenta mające związek z osnową Marji“. Następują „Drobne pisma Antoniego Malczewskiego“ zawierające: „Podróż na górę białą (Mont-blanc), opisaną w liście do profesora Picteta“; powiastki: „Ifigenia czyli skutki niewierności“, „Atenais“, „Podróż“; w końcu umieszczono tu wiersze: „Do Julji“ i „Ucinek do Piotra i Pawła“.

Spis rzeczy wskazuje najdowodniej jak niewolniczy był przedruk. Do edycji tej odnosi się list A. Bielowskidgo do J, Milikowskiego, przechowany w korespondencji J. Milikowskiego f.. 3—4. List ten brzmi:

„Dziękuję Panu dobrodziejowi za przysłanie mi ryńskich (sic) monetą konwencyjną dwadzieścia pięć, a właściwiej za książki rozmaitej treści, które w cenie dwudziestu pięciu ryńskich srebrem, jako nagrodę za pisma Antoniego Malczewskiego przezemnie wydane — odebrałem.

Lwów, dnia 15 grudnia 1842.

A. Bielowski“.

Na odwrotnej stronie okładki wydania z r. 1843. (egzemplarz wraz z okładką posiada bibljoteka Gw. Pawlikowskiego we Lwowie pod l. 5,384) wydrukował Milikowski ogłoszenie następującej treści:

„Nakładca tej książki oświadcza, iż przyjmie z wdzięcznością wszelki niedrukowany tu artykuł Antoniego Malczewskiego, tudzież nowe szczegóły tyczące się jego życia, lub też popiersie jego z lat późniejszych, za przyzwoitą nagrodą, która nadsyłającymu (!) wręczona zostanie; a to celem uzupełnienia tak pism jako i wszelkich wiadomości o tym znakomitym pisarzu. — Uprasza więc o nadsyłanie ich pod adresem księgarni Jana Milikowskiego we Lwowie“. Odezwa ta nie pozostała tym razem bez skutku. Do Milikowskiego zgłosił się Hipolit Skimborowicz, dawniej właściciel „Gazety Porannej“ (1839—1841), były redaktor „Piśmiennictwa krajowego“ (1840—1841), naówczas zaś redaktor główny „Przeglądu naukowego“ (1842—1848) w Warszawie, (wielki wielki wielbiciel Malczewskiego, któremu w r. 1854 postawił od dawna przygotowany kamień grobowy — por. K. Wł. Wójcicki, Cmentarz powązkowski, Warszawa, 1855 t. I. p. 245), donosząc, że posiada nowe szczegóły do życia poety, oraz nieznane jego utwory. Milikowski postanowił je

nabyć na wyłączną własność i w tym celu upełnomocnił księgarza warszawskiego Gustawa Sennewalda przy ul. Miodowej nr. 481 do zawarcia umowy co do ustąpienia wspomnianych materjałów literackich. Układy postępowały opornie. Nareszcie w sierpniu 1843 otrzymał Milikowski od Sennewalda następujący list (zachowany w korespondencji J. Milikowskiego f. 8):

„Herrn J. Milikowski in Lemberg.

Warschau den 12 August 1843.

Endlich heute ist mit gelungen die Manuscripte von Herrn Skimborowicz in Empfang zu nehmen.

In liegend erhalten sie den Contract und die Manuscripte erfolgen noch diesen Monat per Fuhre; ich erwarte nur noch einige Novitäten, um eine Sendung veranstalten zu können.

Freundschaftlich grüsst.

G. Sennewald.“

Do listu tego dołączono umowę, zawartą między G. Sennewaldem (pełnomocnikiem J. Milikowskiego) a H. Skimborowiczem, zachowaną w powyżej przytoczonej korespondencji f. 7. Umowa ta brzmi następująco:

„Między W. Sennewaldem upełnomocnionym od W. księgarza Milikowskiego a W. Skimborowiczem, zawarta następna dobrowolna umowa:

1. W. Skimborowicz odstępuje na własność zupełną i wieczną następne materjały literackie:

a) Curriculum vitae A. Malczewskiego autograf podpisany przez Tadeusza Czackiego.

b) Własnoręczne papiery Malczewskiego, mogące służyć za facsimile.

c) Ustępy z niedrukowanego poematu.

d) Sprostowania i wiadomości tyczące się żywota Malczewskiego, opisanie grobowca itd. przez H. Skimborowicza, który pod żadnym względem ani wydania oddzielnego pism Malczewskiego nie przedsięweźmie, ani nawet w przerobieniu drukować tego nigdy nie ma prawa.

2. W. J. Milikowski, obowiązuje się, drukując to swoim nakładem, oznajmić, iż te wiadomości ma udzielone od Skimborowicza.

Umowę niniejszą własnoręcznie podpisują.

Warszawa, 12 sierpnia 1843.

G. Sennewald. *H. Skimborowicz.*“

Z końcem sierpnia wyprawił zapewne Sennewald do Milikowskiego dopiero co wyliczone „materjały literackie“.

Przechowały się one w zbiorze rękopisów Zakładu nar. im. Ossolińskich we Lwowie. Z wyjątkiem „Curriculum vitae“, które znajduje się w kodeksie pod l. 2424, wszystkie inne materjały, dostarczone Milikowskiemu przez Skimborowicza zawiera kodeks pod l. 2442. Materjały te, znajdujące się na f. 199—219', będę nazywać „zeszytem Skimborowicza“. Opiszę je tu pokrótce, trzymając się porządku, przyjętego w umowie Skimborowicza.

Ogólnie zaznaczę, że „zeszyt Skimborowicza“ składa się z 16 kart in 4° siwego papieru. Pisany prawie wyłącznie ręką Skimborowicza dość porządnie i czytelnie, zawiera kilka kart czystych.

Po tym krótkim opisie przystępuję do wyliczania.

Na f. 199 znajduje się napis 1. a) Curricuum vitae i podpis H. Skimborowicza. Materjału odpowiadającego temu tytułowi (jak już nadmieniłem) nema w kod. pod l. 2442. Przeniesiono go do kodeksu pod l. 2424 f. 115. Jest to świadectwo A. Malczewskiego z liceum w Krzemieńcu.

Pisane na zwykłym papierze formatu półarkusza, opatrzone jest pieczęcią i podpisem Tadeusza Czackiego.

W miejsce „Curriculum vitae“ wklejono 3 karty (f. 206—202'). Zapisane dwoma rękami: Skimborowicza i jakąś inną bliżej nieznaną. Na kartach tych przepisano Malczewskiego „Odę do wojny“ O tej kopji „Ody do wojny“ pomówię później. Na f. 203 jest napis. 2. b) Własnoręczne papiery Ant. Malcz. mianowicie Trzy kwity wydane Hr. Kosowskiemu, mogące służyć za fac simile (podobiznę). Następuje podpis: H. Skimborowicz i notatka Milikowskiego, odnosząca się do liczby kwitów: 3 Stück. Z kwitów, których najwidoczniej było trzy, zachowało się tylko dwa (f. 204 i 205). Na f. 207 znajduje się napis 3, c) Ustępy z niedrukowanego poematu Malczewskiego (f. 207—210). O „Ustępach“ tych będę mówić łącznie z „Odą do wojny“. Tytuł 4. d.) Sprostowania i wiadomości tyczące się żywota Malczewskiego, opisanie grobowca i t. d. przez H. Skimborowicza (f. 213—218') nosi f. 213. Karty niezapisane mają f. 206—210' 212' 219—219'). Z wszystkich prawie dopiero co opisanych i wy-

liczonych materjałów korzystał Antoni M. w artykule drukowanym w ,,Gazecie lwowskiej" 1885 nr. 7 (oddruk w ,,Bibljotece warszawskiej 1885, luty, str. 315—318). oraz Mikołaj Mazanowski w pracy p. t. ,,Żywot i utwory Antoniego Malczewskiego". Lwów, 1890. Wszystkie prawie materjały te doczekały się ogłoszenia, czy to kwity, czy świadectwo krzemienieckie, lub też ustępy z niedrukowanego poematu. ,,Sprostowania i wiadomości tyczące się żywota Malczewskiego, opisanie grobowca itd." pozostały wprawdzie nieogłoszone, ale sprawdził i rozebrał je M. Mazanowski w swej pracy o Malczewskim, podając tu i ówdzie ważniejsze wyimki.

(D. n.)

MAŁPIE ŹWIERCIADŁO.

SATYRY
ADOLFA NEUWERT-NOWACZYŃSKIEGO

Ujrzawszy przypadkiem w zwierciadle odbicie swej podobizny, małpa, pękając ze śmiechu, szturchnęła niedźwiedzia w łokieć.

— Ha, ha, ha, kumciu złoty, czy zamarzyła ci się choć kiedy możność istnienia podobnej kreatury! A jednak to nie unikat, natura potrafi być niekiedy złośliwie figlarną: takich monstrów zdarzyło mi się już spotkać kilka i to między najbliższymi znajomymi...

Na całość książki Neuwert-Nowaczyńskiego składa się tylko dziesięć „kawałków" — inaczej tego z powodu różnorodnej treści uogólnić nie można. Lecz w tych kawałkach autor wyprowadza na scenę taką mnogość typów, taką bez końca długą galerję postaci, że wielu, bardzo wielu z pośród nas ma zupełne szanse spotkania w ich liczbie swoich „znajomych".

Typy to częstokroć nie nowe. Wstrętne fizycznie karły, wzdychające do uroczych królewien z bajek, mężowie zdradzający żony, żony zdradzające mężów, artyści z duszami klownów i klowni o zacięciu artystów, cała ta codzienna szara masa kołysząca się na falach codziennego życia, aż do okazów krakowskiego dekadentyzmu włącznie, znalazła już odpowiedni wyraz w naszej literaturze pięknej.

Ale cały urok utworów N. Nowaczyńskiego na tem właśnie polega, że wszystkie te postacie nie nowe przadstawia on pod kątem widzenia zupełnie nowym, niezmiernie oryginalnym.

Na taką oryginalność może się zdobyć tylko talent prawdziwy, szczery jak kryształ, i takim talentem N. Nowaczyński jest niezawodnie w wysokim stopniu obdarzony.

Zewnętrzna szarość i monotonia tej codziennej masy, do której aż nadto się przywykło, nie razi, ponieważ autor odrazu główny nacisk kładzie na stronę jej wewnętrzną, całą uwagę pochłaniają chytre machinacje obnażonych skalpelem głębokiej analizy mózgów, silących się w krwawym pocie na przeprowadzenie swoich najtajniejszych a wąskich planików.

Wywołuje to sarkastyczny śmiech, lecz u N. Nowaczyńskiego nie jest to śmiech powszedni, ześlizgujący się jak lekka piana po powierzchni bez pozostawienia po sobie śladu.

Jego śmiech jest tego rodzaju, że aczkolwiek rozchyla usta, lecz jednocześnie porusza niepokojem serce, za przelotnym błyskiem odczucia komizmu zewnętrznej sytuacji omracza myśl refleksjami na temat jej wewnętrznej treści.

...Rozbrykany szlachcic, wyrwawszy się ze wsi do wielkiego miasta na zjazd koleżański bawi się nazbyt może wesoło, jakby przystało na męża i ojca, lecz poczuwa się jednocześnie do obowiązku dzielenia się ze swą pozostałą na wsi

małżonką wrażeniami — oczywiście nie wszystkiemi: „Twój szczerze Cię ukochana Anuś kochający mąż, Michał“. I oto na jednym liście znajdujemy następujący dopisek (z knajpy): „Szanownej małżonce ukochanego naszego kolegi i przyjaciela Michała, zasyła towarzystwo jubileuszowe, zebrane i t. d. serdeczne ukłony i pozdrowienia: Michalczuk, Hipolit Omlet, *Felka*, Gromadzki, *Mira Lorrison* i t. d., i t. d...

Zaiste, jakże na krótko pobudza do śmiechu sytuacja owej „szanownej małżonki“, której głębokie zadowolenie z powodu uprzejmej pamięci kolegów męża nie pozwoli zapewne nigdy zastanowić się bliżej nad znaczeniem owej Felki i Miry!

...Karzeł potworny w swej brzydocie, z połamanem w pałąk ciałem i duszą zgangrenowaną bólem spadających nań okrutnych szyderstw, całem swem jestestwem łaknie ukochania, wreszcie w sam dzień zdobycia sławy, która miała ugiąć do jego stóp nie jedną już płeć tylko, ale świat cały, ginie wraz z tajemnicą genjalnego wynalazku, który go wsławił.

Strasznie się przyznać, a jednak miłośne rojenia biednego karła wzbudzają niekiedy śmiech, śmiech straszny, który szybciej jeszcze niż powstał, rozpływa się bólem dojmującej goryczy.

Dla śmiechu tego mogę znaleść jedno tylko porównanie.

Niegdyś w jakimś małym wiejskim kościółku zdarzyło mi się widzieć ścienne malowidło przedstawiające męczeństwa pierwszych chrześcian. Z licznych rodzajów tortur jeden szczególniej utkwił mi w pamięci: poganiany biczami obnażony mężczyzna biega dokoła słupa, do którego przytwierdzony jest gwoździem wyprówający się przez pęp koniec jego wnętrzności.

Każde poruszenie naprzód to nowy ból, to o jeden krok bliżej śmierci, lecz wysnuwające się w biegu wnętrzności sprawiają mu łechtanie i zbielała twarz jego nie przestaje wykrzywiać się skurczem straszliwego śmiertelnego śmiechu.

Śmiech wywoływany przez satyry Neuwert-Nowaczyńskiego niekiedy ze śmiechem owego męczennika ma bardzo wiele wspólnego.

Wacław Żmudzki.

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

Było coś błagalnego w jego głosie.

— Nie! — zawołała Marynia — o tym drugim obrazie myśleć nie chcę. Obowiązkiem naszym nie jest koniecznie cierpieć, ale działać.

— Tylko obawa cierpienia nie powstrzyma nas od działania. Jest to nigdy nieustające powstanie, nie ciał, lecz duchów, uzbrojonych w myśli, nie w oręże. Odwieczna walka światła z ciemnością, która trwać musi, dopóki sprawiedliwość nie zwycięży, albo też poczucie jej wykorzenione niezostanie w zupełności w sercach ludzkich, a wówczas zapanowałoby barbarzyństwo stokroć gorsze, niż kiedy horda po hordzie waliły się na świat cywilizowany.

Witold mówił z tłumionym zapałem, który poraz pierwszy może wybuchał na jaw, przebijając zaporę refleksyjnych nawyknień. Wypowiadał gorącem słowem głąb myśli.

Takim Marynia nie widziała go nigdy.

— Dziś przynajmniej — mówił dalej — nieporozumienia być nie może. Światło i ciemność stanęły naprzeciw siebie, odcinają się wyraźnie. Wszystko co prawe do światła garnąć się musi, co nikczemne do ciemności odpada. Panno Marjo, ja się nie dziwię, że ci niepodobna zapomnieć chwili, gdym się wśród niej znajdował, bo ja sam sobie tego zapomnieć nie mogę. Czuję się tą przeszłością skalany i chciałbym obmyć się jakimś

czynem, coby odkupił mnie we własnych oczach.

Była w tych słowach prostota, cechująca go zwykle. I Marynia ujrzała go w myśli za więzienną kratą. Miał słuszność, obraz, jaki jej nasunął, zatarł wstrętne wspomnienia.

Najzręczniejszy psycholog nie potrafiłby znaleść dzielniejszego środka do rozproszenia mar, które oddzielały go od Maryni. Przecież mówił tylko,co czuł i gardziłby sam sobą, gdyby próbował zręcznością zdobyć serce, tak dumne i czyste. Zamyślony, nie widział nawet, jakie wywarł wrażenie.

Wbrew nawyknieniom, wypowiedział się cały i doznawał uczucia nieznanego dotąd, podzielił się subtelnemi myślami, które spoczywają na samem dnie duszy, pod warstwami naleciałości powszednich, a które, wcielając się w wyrazy, nabierały konkretności. Pod wpływem takiej kobiety, jak Marynia, budziły się w nim nieznane siły, domagały zużytkowania, przetwarzały go, podnosiły. Rozumiał to i kochał ją tem więcej, nietylko za to, czem była, ale i za to, czem go uczyniła. Mówiąc, że kochać ją będzie zarówno szczęśliwy, jak odrzucony, nie wypowiedział się jeszcze dość dosadnie. Czuł niemożność istnienia bez niej w całej mocy i rozkwicie swej indywidualności. Gdyby ją utracił, utraciłby zarazem najlepsze pierwiastki swej duszy, która bez niej okaleczała krwawiłaby się zawsze.

Pomiędzy nimi zapanowało silne milczenie, wymowniejsze od słów, bo teraz wypowiadali sobie wzajem to wszystko, co leży poza granicami wyrazów. On czuł, że znikły dzielące ich mary i o nic już więcej nie pytał. Był przekonany, że godzina jego nadejdzie...

XII.

Panna Nacia przez całe pół roku była rzadkim gościem w Malińcach. Dzieliła swój czas pomiędzy Rzeczycę, zwaną przez nią miastem, a Mińskiem, który w jej oczach wydawał się wielką stolicą. Tu i tam bawiła się doskonale. Pełno oficerów i urzędników kochało się w niej na zabój. Tak przynajmniej utrzymywała.

Teraz właśnie wróciła z Mińska i rozpowiadała matce swoje sukcesa, pokazując jej przywiezione stroje i fotografje swoich ofiar, w mundurach i cywilnych ubiorach.

Do każdego wizerunku łączyły się czułe wspomnienia. Opowiadała je tak głośno i śmiała się tak wesoło, że aż usłyszał ją Jedniewicz i przyszedł posłuchać.

Na środku pokoju stał kufer Naci; matka i córka siedziały przy nim na ziemi, wydobywając różnokolorowe bluzki, kapelusze, pełne piór, kwiatów i t. p. rzeczy, a chociaż były mocno zużyte, budziły zachwyt popadji, która co chwila przymierzała je córce, krzycząc:

— Ślicznie! cudnie! przecudnie!

— To też szaleli za mną — mówiła Nacia — a już najwięcej Aleksy Iwanowicz. Ot, patrz, mama, jaki śliczny mężczyzna.

I pokazywała fotografję barczystego żołdaka w mundurze żandarmskim.

— Gdzie ja się obróciła, tam on był. Czy w ogrodzie, czy na muzyce, czy w kasynie. Nieraz idę sobie ulicą, on jakby z pod ziemi wyrósł, zaraz przy mnie. Ja niby nic, patrzę w inną stronę, on za mną idzie krok w krok i szepce: „Tak ładnej niema drugiej na świecie, at, co za oczka, ząbki, usta“. I tak ciągle, aż ja się roześmieję i powiem: „At, co gadać. Panna gubernatorówna ta dopiero ładna, nie ja. Gdzie mnie się do takiej umywać, co chodzi w sobolach i aksamicie“. Tak on znowu: „Ja ciebie wolę bez aksamitów i bez soboli“. Tak powiedział, jak matkę kocham, powiedział!

— Kiedy woli, to czemu się nie oświadczy i nie ożeni — wtrącił Jedniewicz.

— Ot, zaraz ożenić! — rozśmiała się Nacia. — Miałam ja lepszych od niego!

— U was tak zaraz oświadcz się i ożeń — zawtórowała córce popadja — niby to oficerowi tak łatwo.

— Jużcić, gdyby chciał się ożenić, toby tu przyjechał i oświadczył się, jak syn księdza z Bielin, co go mają na Nowy Rok wyświęcić. Nacia mu się podoba.

— Ot, jeszcze czego — zaperzyła się Nacia — żebym całe życie kisła na jakiej wsi, może kury sadziła i przędła i tkała.

Jedniewicz wzruszył ramionami.

— Ej! uważaj sobie, żeby ci nie przyszło zostać bez dachu, nie mieć gdzie kur sadzić, co prząść i co tkać. Ja nie wieczny, a potem co?

— Co też ojciec gada! Taka ładna, jak ja, miałaby się jeszcze o swój los kłopotać! — zaśmiała się Nacia.

Wydobyła znowu fotografję oficera.

— A ten, czy nie śliczny? Temu to się dopiero dusza do mnie rwała! Raz idę ja sobie ulicą, już wieczorkiem, zwyczajnie idę do przyjaciółki. Schody nie bardzo jasne, lampka ćmi w kącie. Na zakręcie coś mnie chwyta. Boże mój! Chcę krzyknąć, aż patrzę, wojskowy, młody, śliczny. Zobaczył mnie, kiedym wychodziła, poszedł za mną, zatrzymał się i czekał, bo ja była w kompanji. Zwyczajnie młoda kompanja, to i śmiechy i żarty. Kiedym się żegnała przed domem przyjaciółki, on zakradł się na schody i ściska i całuje i szepce: „Duszka ty moja, ty lubka, ty śliczna“! Ktoś drzwi otwierał, ledwom się wyrwała. Słuszny mężczyzna! słyszałam, że książę, czy hrabia...

— Zaraz książę — wtrącił Jedniewicz — a choćby, to i cóż? Dziewczynę każdy wyściska, kiedy może. Jaka ty, Nacia, głupia. Naparła się do Mińska. Ta i pojechała. Myślałem, za mąż pójdzie. A tyby prędzej tu męża znalazła. Ot, gniewasz się. A przecie ten chłopak z Bielin... No, już nie, nie będę — dodał, widząc oburzoną twarz Naci — ale taki głupstwo robisz.

— Niechże ojciec da już pokój! — oburknęła się szorstko.

— Pewno, że niema co gadać — wtórowała jej matka — rada zawsze ze sprzeczki z mężem.— Już ty dziecku losu nie zapewnisz. Inny, na twojem miejscu...

Chciała wypowiedzieć żale, co dnia powtarzane, ale Jedniewicz nie słuchał, trzasnął drzwiami i poszedł prosto do sadu, opatrywać swoje pszczoły.

Jedniewiczowa mruknęła ze złością.

— Głupi!

Nacia, nie zważając na domowe sceny, do których była przyzwyczajona, siadła znowu przy swoim kufrze, nucąc nowe operetkowe piosnki. Miałaby też czem psuć sobie humor! Nie wątpiła ani o swojej urodzie, ani odobrym guście młodych panów, których spotykała i spotkać mogła. Dziwny ten ojciec! Czy jej to pilno iść za byle kogo? Niech trochę świata użyje. A potem... już ona da sobie radę.

Wyśpiewując, ułożyła swoje fatałaszki w komodzie, ubrała się bardzo pięknie, według swego mniemania i wyszła na spacer na drogę. Miała tam zawsze szanse jakiego spotkania.

Może panna Natalja pamiętała o Ignasiu, a może też zapomniała o nim oddawna i nie miała nikogo w szczególności na myśli, bo, co prawda, myślenie stanowiło jej słabą stronę. Miała jeden z tych ptasich mózgów, w których wrażenia przelatują jak chmury po niebie i giną bez śladu

Z początku spotykała same chłopskie wozy, lub kobiety, idące drogą. Żałowała więc z całego serca miasta, gdzie co krok spotykała znajomych i miała się do kogo uśmiechać, gdy wreszcie usłyszała tentent kłusującego konia i dojrzała zdaleka Witolda. Popadjanka znała go z widzenia, bo specjalnością jej było, znać wszystkich i wiedzieć przedpokojowe plotki o ludziach, do towarzystwa których nigdy wstępu mieć nie mogła. Na Witolda spoglądała ze szczególnym respektem, słyszała, że był ogromnie bogaty, że kochała się w nim jedna księżniczka i nie wiem ile hrabianek, ale on się starał o pannę ze dworu. Jakżeż było na niego nie patrzeć? Ona też patrzała zalotnie, wabiąco, wysuwając się na środek drogi.

Niestety, zabiegi jej okazały się zupełnie stracone. Witold na swoim siwku przekłusował niedaleko i minął obojętnie, jak gdyby była jednem z tych drzew przydrożnych. Nie zatrzymał na niej oka, nia zwolnił biegu i nie obejrzał się nawet.

— Ot, masz tobie! grzeczny kawaler! — wyrzekła niby sama do siebie, dość głośno przecież by ją mógł usłyszeć.

Jednakże zaimponował jej tą obojętnością.

— Cóż — dodała po namyśle — zaraz znać, że to prawdziwy hrabia. Jemu potrzeba księżniczki.

I wydało jej się rzeczą bardzo naturalną, że na nią nie spojrzał. Powzięła nawet z tego powodu dla niego szacunek wielki. I często wybiegała na drogę, jedynie żeby na niego popatrzeć.

Witold był w Malińcach niemal codziennym gościem.

Pomiędzy Ignasiem a rodziną oddalenie stosunków nie naprawiło. Niby wszystko było dobrze i w porządku, tylko kiedy syn pozostawał sam na sam z matką, rozmowa milkła nagle lub toczyła się o tak banalnych przedmiotach, jak pomiędzy ludźmi najbardziej dalekimi od siebie i gorzej jeszcze, bo było pełno rzeczy drażliwych, podobnych do ran świeżych, które każde z nich omijało starannie.

Obecność Witolda była dla wszystkich prawdziwą ulgą, tak samo, jak kiedy Ignaś mieszkał jeszcze w Malińcach. Teraz on czuł się upoważ-

nionym do odgrywania w rodzinie roli rozjemcy. Wprawdzie nie był jeszcze urzędownie narzeczonym Maryni, ale wszyscy w domu uważali go za takiego. Nie było przed nim tajemnicy żadnej, a w każdej sprawie zasięgano jego zdania.

— Ot — mówił po cichu Berwicz, patrząc na niego — gdyby to tak nasz Ignaś...

Wzdychał, kręcił głową, a patrząc na niego i Marynię, dodawał w duchu:

— Bóg miłosierny zesłał smutek ciężki, zesłał i pociechę. Taki szkoda, że nasz Ignaś do niego niepodobny, ale przynajmniej Malińce, bez gospodarza nie zostaną.

Pani Teresie tego przecież nie mówił. Pomiędzy nimi także były rzeczy niedopowiedziane, przed któremi cofali się oboje.

Do Urbicz droga prowadziła koło malinieckiego ogrodu nad Dnieprem, do promu, który stanowił komunikację pomiędzy dwoma brzegami rzeki. Ale łodzią dla tych, co umieli się kierować wśród moczarów, można było skrócić odległość o wiele i dostać się wprost z Urbicz do malinieckiego dworu.

I dworscy ludzie i sam Berwicz często używali tej drogi. Stary znał moczary dnieprowe doskonale, a łodzią kierował, jak najzręczniejszy rybak.

Kto wie, czy to położenie geograficzne Urbicz, ta łatwa komunikacja z malinieckim dworem i droga od promu, z przeciwnej strony cerkwi, nie wpłynęła na wybór dzierżawy. Berwicz psychologiem nie był, jednakże zdawał sobie dobrze sprawę z charakteru Ignasia, wiedział, że to był jeden z tych ludzi, którzy sobą nie rządzą. Czyny jego, uczucia nawet, zależały od okoliczności. Trzeba było strzedz go od pokus. Ustrzedz zawsze było trudno, niepodobna nawet, skoro nie uczynił tego krzyż Brzeszcza, pamięć jego męczeństwa. Przecież trzeba robić, co można.

Do Maliniec Ignaś przyjeżdżał zwykle promem. Wioślarzem nie był, trudzić się nie lubił. Przeszło parę miesięcy spokojnie. Panna Natalja chodziła po lipowej alei i drodze, śpiewała wesołe piosnki, Ignaś ich nie słyszał.

Raz wreszcie, jadąc we dwóch z Witoldem do Rzeczycy, spotkali popadjankę, która swoim zwyczajem czatowała na drodze i niby nie słysząc turkotu, szła ścieżką pod lipami, nucąc i podskakując czasami; słyszała bowiem, że panna powinna być zawsze wesoła i wesołość swą okazywała w ten sposób. Dopiero, gdy powóz był blisko, spojrzała nagle i krzyknęła:

— Ah! pan Ignacy!

Wykrzyknik doszedł jego uszu. Ukłonił się.

— Ładna dziewczyna, — zawołał z przekonaniem.

— Kto taki? — spytał Witold, który przypadkiem, czy umyślnie miał głowę zwróconą w inną stronę i nie widział nawet Natalji.

Obojętność ta ubodła Ignasia.

— Ty, bo masz oczy tylko dla Maryni — próbował żartować — ale patrz tylko, dziewczyna, jak łania.

— Ah! ta — odparł Witold lekceważąco, spojrzawszy na drogę — jakaś wykrygowana Dulcynea.

Ignaś przygryzł wąsy. Popadjanka podobała mu się; był to typ kobiety w jego smaku. Zresztą odzywał się głośno, że nie cierpi filozofek.

Są przytem natury niepoprawnie gminne, wychowanie, subtelność, jaką ono wyrabia, nie wnika w treść ich istoty, ale jest podobne do narzuconego werniksu. Może nawet w ten sposób urobić się osobowość sztuczna, która znika jednak przy pierwszej sposobności. Pokazuje się wówczas człowiek nowy, często nieznany najbliższym. Do tego człowieka, jakim w gruncie był Ignaś, pasowała Natalja, pomimo jego arystokratycznych pretensji. Miał równie grubą naturę, jak ona. Lubił być z kobietami swobodny. Matka, Marynia, nawet Jadzia, krępowały go czemś nieokreślonem. Pomimo całej różnicy pojęć, środowiska, nawyknień, z Nacią porozumieć mu się było stokroć łatwiej, gminność ich dwóch dusz odpowiadała sobie wzajem.

Spotkali się. Zbliżył ich traf, któremu, co prawda, ona dopomagała, jak mogła. Spotkali się potem znowu, chociaż on spotkania ani szukał, ani unikał. Rzecz nie zdawała mu się zrazu wartą zachodu. Potem podziałały powinowactwa i stało się to, co stać musiało.

Trzeba przyznać, że nie zdawał sobie sam sprawy z doniosłości tego stosunku.

Jakaś tam popadjanka zdawała mu się istotą, której on, Marski, na serjo brać nie może; co najwyżej, będzie to dla niego zabawka, a na taką przecież wolno mu sobie pozwolić. Gdy mu się znudzi, wyposaży ją, wyda za mąż i koniec. Nie uwierzyłby, gdyby mu kto wskazał w tem niebezpieczeństwo jakie.

Tymczasem grube i najbardziej nawet ograniczone istoty mają swoje przebiegi, tem niebezpieczniejsze, iż najczęściej nie dostrzegają rzeczy, widocznych dla wszystkich, nie przebierają w środkach i uparci trwają przy swojem.

Panna Nacia czuła dobrze, iż podoba się Ignasiowi, a nawet, iż za każdem spotkaniem podoba mu się więcej. To też, gdy matka swoim zwyczajem mówiła płaczliwie, patrząc na nią:

— Oj, biednaż ty, biedna, gołąbko moja! Zestarzejesz się, zwiędniesz w tym zakącie...

Odpowiadała wesoło:

— Co znowu! Niechno mama głupstwa nie gada. Złapię ja sobie jeszcze takiego chłopca, o jakim się mamie nie śniło!

Na takie powiedzenie córki Jedniewiczowa milkła. Nacia zaś wyśpiewywała coraz głośniej i stroiła się coraz jaskrawiej.

Nie zdawała sobie sprawy z całego niepodobieństwa spełnienia tych pięknych marzeń. Naturalnie, wiedziała że pani Marska, na małżeństwo nie pozwoli. To i cóż, ojciec da im ślub bez pozwolenia i będzie po wszystkiemu. Albo to raz dzieci się żenią, bez woli rodziców, a rodzice potem muszą przebaczyć?

Uważała jednak, że im później ludzie dowiedzą się o ich stosunkach, tem będzie lepiej, a że Ignaś także nie miał najmniejszej ochoty chwalić się nimi, oboje więc działali zgodnie.

Na wsi jednak ukryć się niełatwo. Jeśli w mieście domy mają dla oka bliźnich kryształowe ściany, na wsi tych ścian nawet niema. Niemożna przejść drogą, wejść do cudzej siedziby, żeby tego ktoś nie podpatrzył. A jeszcze jak na złość, gdyby Ignaś przestąpił próg popowszczyzny, nazajutrz cała wieś wiedziałaby o tem.

Położenie było trudne. Ignasiowi nie starczyły spotkania na drodze, urządzał je w powiatowem mieście. Ale tutaj wmieszała się w grę Jedniewiczowa. Uczepiła się córki, jak smoła. Panna Nacia udawała, że się jej strasznie boi. Matka gotowaby ją zabić. Płakała gorzkiemi łzami nad swoją niewolą... Bo gdyby ona mogła... gdyby mogła, lotem ptaka poleciałaby do niego, choćby na koniec świata i nie odstąpiła go nigdy.

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Piśmiennictwo polskie ostatnich lat dwudziestu.* 2 tomy. Wilhelm Feldman. Lwów. Altenberg 1902. Praca p. Feldmana zjawiła się bardzo na czasie, dotychczas bowiem nasza literatura krytyczna nie posiadała dzieła, poświęconego analizie i syntezie najświeższych prądów naszego piśmiennictwa.

Znana i cenna książka Chmielowskiego o dziejach literatury polskiej z ostatnich lat trzydziestu, obejmuje przedewszystkiem dokładne przedstawienie stanu naszego pismiennictwa w epoce przewagi w sferze myśli — pozytywizmu, a w polityce — pracy organicznej; natomiast okres późniejszy, będący reakcją przeciwko prądom epoki poprzedniej, traktowany jest zbyt zwięźle. Okoliczność ta nie uszła uwagi samego Chmielowskiego; w ostatniem wydaniu powyższej książki wypowiada nawet życzenie, aby ktoś z młodszych opracował ten okres.

Wezwaniu temu uczynił zadość p. Feldman. Książka jego jest tego rodzaju, że można pisać o niej bardzo szczegółowo, albo poprzestać na ogólnej charakterystyce. Dla braku miejsca uczynimy to ostatnie.

Na wstępie nasuwa nam się porównanie książki Chmielowskiego z pracą p. Feldmana. Dwa te dzieła różnią się nietylko przedmiotem badania, ale, w jeszcze większym stopniu, jego charakterem.

Chmielowski daje szerokie tło społeczno-polityczne i bada przedewszystkiem prądy ogólne, pojawiające się w literaturze polskiej dawnego okresu, charakterystyka poszczególnych pisarzy mniejszą odgrywa rolę; p. Feldman postępuje odwrotnie: nie daje mam dużego tła społeczno-politycznego, natomiast prawie całą uwagę skupia na psychice pisarzy.

Dzieło p. Feldmana ułatwia zrozumienie pisarzy naszych z ostatniej doby. Jest też cennym przyczynkiem do psychologji naszego społeczeństwa.

Autor zapoznaje nas w sposób szczegółowy z reakcją przeciwko pozytywizmowi, z budzeniem coraz większem uczuć narodowych, ujawniających się w twórczości literackiej.

Jest on przychylny temu zwrotowi, co nie przeszkadza mu jednak widzieć pewnych jego niepożądanych zboczeń w kierunku tradycyj szlachecko-polskich, zjawiających się tak wyraźnie w powieściach Sienkiewicza.

Poezję polską z nowszych czasów ceni nasz autor bardzo wysoko, wyżej od współczesnej innych narodów.

Literatura nasza, zdaniem p. Feldmana, ogromnie powiększyła w ostatnich czasach zakres obserwacji psychologicznej, rozszerzając widnokręgi naszych uczuć i myśli, a język polski wzbogacony został szeregiem no-

wych wyrazów, odpowiadających coraz bardziej wysubtelniającym się pojęciom. Indywidualizm autorów naszych rozwija się bujnie.

Przy analizie twórczości poszczególnych pisarzy p. Feldman wypowiada często wiele trafnych i głębszych uwag o różnych szkołach literackich u nas i za granicą.

W końcu pozwolimy sobie zrobić jedną uwagę: p. Feldman zdaje się niedoceniać dodatnich, pod względem umysłowym, skutków pozytywizmu u nas, przeceniając ujemne. *L. K.*

*

Przyroda w malarstwie i poezji. Szkic Prof. Dr. Witolda Barewicza. Odbitka ze Sprawozdania V. gimnazjum we Lwowie za rok szkolny 1901/2. — Znany germanista, który rozprawą o krajobrazach Goethego, w języku niemieckim pisaną, zwrócił na siebie uwagę uczonych za granicą, pokusił się o wytłumaczenie piękna przyrody w sztuce i wskazanie najgłówniejszych kierunków w rozwoju tego uczucia. Autor wychodzi z założenia, że nie tylko działanie sił i objawów przyrody na duszę artysty, lecz także twórcza jego praca i charakter osobistości warunkują krajobraz. Wbrew utartemu mniemaniu, jakoby malarz zdołał lepiej oddać piękność przyrody od poety, dowodzi Barewicz, że, w porównaniu z malarstwem, wzrasta zakres indywidualizmu w poezji w miarę tego, o ile mniej materyalnymi są środki poezji od tych, jakimi się posługuje sztuka malarstwa. Osobowość bowiem artysty pozostaje w stosunku odwrotnym do środków, używanych w dziedzinie jego sztuki. „Jedynie w poezji osobistość twórcza artysty wyzwala się prawie zupełnie z więzów krępującej ją materji“.

Bardziej przekonywającym i wymowniejszym jest przegląd ewolucji, jaką uczucie piękna przyrody przebywało z postępem cywilizacji od staroindyjskiej poezji począwszy. Z głębokiem w swój przedmiot wniknięciem wykazuje Barewicz, jak spokojne i niby z marmuru wykute obrazy klasycznych poetów ustąpić musiały żywym, żarem mieniącego się kolorytu i tonią uczuć przepojonym obrazom romantycznym, jak bezwzględny indywidualizm w moderniźmie wyciska na krajobrazach w malarstwie i poezji bardziej osobiste piętno. Znacznie zaostrzony wzrok i wysubtelnione uczucie wnika coraz głębiej w tajniki przyrody, w jej miejscowe zabarwienie, by ją uczynić coraz wierniejszem odbiciem duszy artysty.

Rzut oka na ewolucję poczucia piękna w przyrodzie wypełnia dotkliwą lukę w naszej literaturze i dlatego należy się uznanie pracy Dr. Barewicza, która uszła uwagi naszej prasy. *H. B.*

SZTUKA. *Wystawa młodych w Warszawie.* W piątek dnia 30. maja otwartą została w Warszawie w salonie Krywulta: „Wystawa wiosenna młodych polskich artystów“. Wystawa ta, choć znać w niej pewien pośpiech i czuć wskutek tego pewne luki, na ogół przedstawia się wcale okazale, a urządzona z wielkim smakiem, chlubnie świadczy o tem gronie głównie warszawskich, krakowskich i petersburskich młodych, o nazwiskach ogółowi naszemu do tej pory mało, lub wcale nie znanych, do których ze starszych przyłączyli się: Stanisław Masłowski i Antoni Kamieński, a przyłączyć się ma jeszcze i Józef Pankiewicz. Te nazwiska, obok nazwisk młodych wystawców, same już świadczą, że salon młodych ma dla Warszawy niejako znaczenie secesji i gromadzi w sobie wszystkie prawie tutejsze siły prawdziwie młode i do swobodnego zupełnie wypowiedzenia się w sztuce zrażające. Nie mówiąc o starszych, z których wyborny realista Masłowski tutaj dał kompozycję wcale nieszczególną, a ilustrator Kamieński kilka dawniejszych portretów i studjów rysunkowych (wyborne studyum kobiece p. t. „Tęsknota“), to z pomiędzy 30 nazwisk młodych malarzy i rzeźbiarzy, ktorzy tu dzieła swoje wystawili, a wśród których wiele na ogół czuć zdolności i kultury artystycznej, kilku dzisiaj już jako wybitne talenty wyróżnić można. Dotyczy to przedewszystkiem, ze szkoły krakowskiej przed kilku zaledwie laty wyszłego, młodego malarza, p. Ignacego Pieńkowskiego, którego dzieła stanowczo na plan pierwszy na tej wystawie się wysuwają. Wybitna to już indywidualność twórcza, świetny rysownik i kolorysta-wirtouz, o którego wielkiej wszechstronności świadczą obecnie wystawione dzieła o tak różnorodnych kierunkach: „Portret kuzynki,“ „Noc“ (Villa d' Este, własność F. Jasieńskiego), „Romans,“ „Studjum“ i „Ekran“. Pieńkowski obok Weissa jest dziś najwięcej zapowiadającym talentem wpośród naszych młodych!

Obok niego, jako portreciści, wyróżniają się na wystawie: Badowski, Okoń, Procajłowicz, Wyszyński, a zwłaszcza Krzyżanowski i Tichy; jako pejzażyści zaś: bracia Czajkowscy, Józef i Stanisław, Kowalewski, Maszyński, Niewiadomski, Procajłowicz, Stabłowski, Trojanowski, Weiss, Wróblewski i Ziomek. Kompozycje fantastyczne dali: Gawiciński, Jabłczyński, Okuń, Wyszyński, (w litografji) Dyzmański, (w litografji i akwaforcie) F. Siedlecki, nieskrystalizowana jeszcze ale inteligencyą swoją zaciekawiająca indywidualność.

Rzeźbę reprezentują: Biegas, Breyer, Ulanowski, a zwłaszcza do niedawna również jeszcze uczeń szkoły krakowskiej, lwowianin, Stanisław Ostrowski, bardzo utalentowany portrecista. Jako nowość w Warszawie zaznaczyć należy, że zarząd Salonu w bardzo starannej edycji wydał katalog ilustrowany, który prócz spisu dzieł i nazwisk wystawców, zawiera szereg reprodukcji na wystawie „wiosennej“ wystawionych. Oryginalny plakat wystawy, przedstawiający bociana (?) wykonał p. Pieńkowski. Otwarcie wystawy odbyło się wobec licznego grona zaproszonych osób, przedstawicieli sztuki, literatury i prasy warszawskiej. *A. C.*



Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8